

Józef Kosiak ps. "Indusina"
Relacja spisana z taśmy magnetofonowej
15 marca 1989 r.

259

Urodziłem się w roku 1920.

 **ARCHIWUM WSCHODNIE**

W oddziale partyzanckim AK znalazłem się w roku 1940. Miało to miejsce w okolicach Motycza pod Lublinem. Dowódcą był mjr Aleksander Sarkisow ps. "Szaruga". Ze swoim dowódcą byłem do ostatniej chwili, to znaczy do 25 lipca 1944 roku.

Po zakończeniu walk z Niemcami w Bychawie cofnęliśmy się do Osmolic a następnie do lasu "Dąbrowa", gdzie okrążyły nas i rozbroiły wojska radzieckie. Takie były początki zetknięcia się z wojskami radzieckimi.

Jak wyglądało rzebrojenie? Otoczono nas, powiedzieli, że mamy oddać broń, że myśmy już skończyli swoją działalność, że teraz są wojska radzieckie, że my nie mamy już nic do roboty, że mamy się nie oddalać i być na miejscu, bo w razie oddalania się będą do nas strzelać. W tym czasie nie musieliśmy jeszcze podawać swoich nazwisk i pseudonimów.

Dowódcy naszemu, który chciał jakoś ratować sytuację, udało się jednak uciec. Przybył on do Lublina, gdzie spotkał się z pułkownikiem Satanowskim, który był dowódcą oddziału o nazwie "Jeszcze Polska nie zginęła". Ten lewicowy oddział przybył na Lubelszczyznę zza Buga, działając w ścisłym kontakcie i pod zwierzchnością władz radzieckich. Z oddziałem tym spotykaliśmy się już wcześniej w partyzantce, tak, że dowódca znał Satanowskiego. W czasie rozmowy dogadali się. Satanowski przyjechał do Rosjan, którzy nas otaczali, dał "głęjt", że on nas zna, że my jesteśmy częścią jego oddziału.

Wszystko to zostało zrobione po to, aby tylko z tego okrążenia wyjść.

Po tym poręczeniu Satanowskiego, Rosjanie pozwolili nam odejść. Przy okazji nasi partyzanci ukradli Rosjanom z wozów broń, którą wcześniej musieli złożyć. Odeszliśmy w stronę Lublina z bronią z wozami, na których byli ranni.

Cały oddział prowadził kapitan Apolinary Reps ps. "Żegota". Do Lublina weszliśmy ulicą Bychawską i zwartym oddziałem dotarliśmy do Krakowskiego Przedmieścia. Ludzie jak patrzyli na nas, jak idziemy

to płakali. Gdy doszliśmy do Krakowskiego, to już było tam kilka oddziałów partyzanckich. Nie przypominam sobie dowódców tych oddziałów. W każdym razie był tam jakiś oddział spod Lubartowa, miejscowi chyba również. Było dużo ludności cywilnej. Przemawiała do nas Wanda Wasilewska. Któryś z dowódców, chyba Berling wyznaczył nam kwatery w budynku obok banku, który mieścił się na ~~rogu Krakowskiego Przedmieścia~~ ^{ul.} 3-go Maja. Byliśmy tam na piętrze. Wówczas przyszedł do nas dowódca i powiedział, aby się nie rozchodzić, bo są łapanki, kotły, zabójstwa, że tyle przeżyliśmy, to nie warto zginąć przez przypadek na ulicy. Mówił tak dlatego, ponieważ myśmy wychodzili na ulicę. Tymczasem dowódca prowadził pertraktacje. W końcu przyszedł do nas i mówi: Słuchajcie, są dwa wyjścia: Jedno to rozejść się każdy na własną rękę, drugie, to jeśli można wierzyć (bo dowódca nie bardzo wierzył), to przejść do wojska. W ten sposób możemy się ocalić. Decyzję podjęliśmy wspólnie wszyscy (dowódca nie decydował) Postanowiliśmy, że pójdziemy do wojska.

Wyruszyliśmy z Lublina pierwszego sierpnia 1944 roku zwartą grupą do Międzyrzecza. Szedł tylko nasz oddział. Oddziały Satanowskiego i Klima pozostały w Lublinie.

Przez Międzyrzec dotarliśmy do miejscowości Mordy, gdzie zorganizowano nową dywizję ludowego wojska. Przydzielono nas do 34 i 36 pułku piechoty. Mieliśmy tam różne prace. Ja byłem dowódcą trzeciej kompanii rusznic przeciwpancernych. Przydzielano mi do kompanii różnych ludzi, z którymi prowadziłem ćwiczenia. Wielu z tych ludzi pochodziło z Wileńszczyzny. Głównie byli to ludzie z Wileńskiej Brygady AK "Wilka". Wcześniej byli aresztowani przez Rosjan. W rezultacie przybywali do nas bardzo zabiedzeni, nie dali rady chodzić, byli spuchnięci z głodu. Musiałem więc coś zaradzić aby szybciej doszli do siebie. Ponieważ miałem do swojej dyspozycji parę koni - jeszcze partyzanckich, to dawałem je chłopcom do pracy na roli, a w zamian od nich otrzymywałem żywność np. mięso, chleb, kaszę,

które brałem do kotła i dożywiałem tych żołnierzy.

Na początku października 1944 roku zostałem aresztowany. (W dokumentach mam wpisane, że służbę wojskową przestałem pełnić szóstego listopada 1944 r.). Jak to się stało? Przebywałem z żołnierzami na poligonie w Mordach. Było tam takie bagno, przez które ćwiczyliśmy przejście. Mieliśmy do tego długie tyczki. Przejście udało się. W pewnym momencie przychodzi do mnie z koszar oficer radziecki i pyta : porucznik Kasiak? mówię, tak. No to macie się stawić do sztabu. Tam wzywa was dowódca pułku. W związku z tym zwróciłem się do swojego szefa aby dalej ćwiczył kompanię i o określonej godzinie wrócił z wojskiem do koszar, po czym z oficerem radzieckim udaliśmy się w drogę powrotną.

Gdy odeszliśmy kawałek "Ruski" do mnie mówi : ty nie idź do sztabu , tylko uciekaj, bo ciebie mają aresztować. A ja mówię do niego: Powiedz za co mnie mają aresztować - jak nic nie zrobiłem, nic nie powiedziałem, to za co? Ja w to nie wierzę! A on na to: głupi jesteś, ja wiem, że cię aresztują. A ponieważ nie odeszliśmy jeszcze daleko naszą rozmowę usłyszał mój szef kompanii. Panie poruczniku - mówi do mnie - i tak pistolet przesunął sobie do przodu, wie pan co: jak taka sprawa, to bierzem wojsko i idziem do lasu. A ja na to: szefie, niech pan mi odpowie na jedno pytanie. Jakim prawem?! Szef na to: no wie pan, pan ma rację, ale pana aresztują, to pewnie i innych będą aresztować. I rzeczywiście miał rację. Jednak na ucieczkę się nie zdecydowałem. Stawiłem się w sztabie. Jak wszedłem do pokoju pułkownika Pluto, dowódcy pułku, to ten coś dłubał scyzorykiem w kafłowym piecu i miał łyży w oczach. W tym momencie muszę powiedzieć bardzo ważną dla mnie rzecz, która miała miejsce przedtem. Otóż ten dowódca pułku Pluto proponował mi wcześniej abym zostałem jego adjutantem. Ja wówczas odmówiłem mu. Tymczasem jeden z ruskich podskoczył do mnie, chcąc sięgnąć do kabury mojego pistoletu. Odepchnąłem go wówczas i sam zdjąłem pas rzucając go na łóżko pułkownika. Następnie zapytałem co dalej? Kazano mi wyjść na ganek, przy którym stała już cofnięta ty-

tyłem ciężarówka. Siedzieli już w niej w pozycji jeden między nogami drugiego nasi partyzanci: „Lechita”¹ Żróbek Jan, Zbyszek Pliszczyński → „Kosa”² Jurek ~~Krzyszowski~~ ^{Krzyżanowski}, Kowalski i jeszcze kilku innych naszych partyzantów tam siedziało

Dlaczego nas aresztowano i co z nami będzie nie wiedzieliśmy. Nic o tym nam nie mówiono. Ale chodziły pogłoski, że dowódca trzeciego batalionu tak się domagał, żeby nas zamknąć. Był nim Żyd o nazwisku Rozenfeld³. Bo na przykład jeden z naszych kolegów był w batalionie, gdzie dowódcą był Greczko - siostrzeniec, czy brataniec generała Greczki. On nie pozwolił aresztować byłych partyzantów, którzy u niego byli w batalionie. Powiedział, że ich nie da, ponieważ nie będzie miał z kim wojować i nie dał.

Była już noc, gdy zawieziono nas do Siedlec, gdzie przez pewien czas staliśmy pod więzieniem. Być może tam nas nie chciano, bo pojechaliśmy dalej.

W końcu przywieziono nas do Skrobowa - miejscowości położonej przy szosie między Kozłówką a Lubartowem. Tutaj wprowadzono nas do budynku na piętro. Była tam duża pusta sala, wokół której były tylko prycze. Nie było nawet sienników.

Ostatnie wydarzenia spowodowały, że dostałem jakiejś apatii. Przez tydzień chyba leżałem, nie chciałem jeść, wstawać ani chodzić. Jeden z kolegów żartował, że nie potrzebuję nic robić, bo "służba" i tak mi wszystko przyniesie. I faktycznie wszystko mi przynosili.

My w Skrobowie byliśmy pierwsi. Wkrótce jednak zaczęli przybywać inni. Przywieziono dowódcę oddziału partyzanckiego AK Stanisława Okuciewskiego ps. "Mały". Inni z nowoprzywiezionych to: były lotnik z Dębłina porucznik Zdzisław Gorecki, dwaj inni lotnicy to ^{Watkuski} ~~Wakulski~~ (?) i Namura. Byli tam jeszcze : Truszczyński, Cichoń - kapelmistrz operetki i wielu innych. Oni też byli więźni z wojska, ale z zapasowego pułku z Majdanka. W sumie w Skrobowie w jednym czasie było nas pięćset oficerów i podoficerów oraz trochę szeregowych.

Oprócz nas wziętych z wojska, innych kategorii więźniów z nami

w tym czasie nie było. A przebywaliśmy tam około jednego miesiąca tzn. od początku października 1944 r. do listopada 1944 r. Wszyscy byliśmy w mundurach wojskowych i przeważnie znaliśmy się ze sobą wcześniej. Wspomnę jeszcze, że było wśród nas nawet trzech z powstania warszawskiego.

Jeśli chodzi o kapitana Apolinarego Repsa "Żegotę", to jego wśród nas nie było. To była inna sprawa. Zamknięto ich w innym czasie i przewieziono do Kąkolewnicy, do takiego kryminału w ziemiankach, gdzie następnie w lesie rozstrzelano.

Dowódca obozu nazywał się Kołasznikow. Był bardzo srogim człowiekiem. Budynek w którym siedzieliśmy był piętrowy. Oficerowie w zasadzie przebywali w celach na piętrze, podoficerowie na parterze. Cele były zamykane na klucz, lub otwarte, w zależności od humoru Kołasznikowa. Budynek był ogrodzony drutami. Było tam małe podwórko ogrodzone deskami, na które wychodziliśmy na spacer, które odbywały się rano. Był ^zczas, że wychodziliśmy tam również po południu. Przy ogrodzeniu stały wieżyczki, na których przebywali uzbrojeni wartownicy. Do pracy żadnej nie chodziliśmy. Jedzenie to nawet było niezłe, lepsze jak w wojsku. Dostawaliśmy bowiem kaszę i parówki, a w wojsku to była owsianka.

Zdzisław Gorecki, Namura i kilku innych stworzyli chór. Układając i śpiewając piosenki umilali nam życie. Chodziliśmy tam na dół słu-chać ich śpiewania. Pierwsza piosenka jaką ułożyli miała następujący tekst:

A kto chce rozkoszy użyć
Niech idzie do wojska służyć
Po komisji krótka mowa
Wyjeżdżamy do Skrobowa
Raju ach co za raj.

Miejscową ludność, która interesowała się obozem odpowiednio usta-wiono. Rozgłaszano im, że my jesteśmy esesmanami przebranymi w polskie mundury, po to, żeby robić wrogą robotę w armii polskiej. Ponieważ obóz był przy samej szosie, to gdy chodziliśmy tam koło drutów, to

ludzie nie chcieli z nami rozmawiać, lecz pluli na nas, po prostu pluli. My natomiast staraliśmy się przekazać im wiadomości do naszych rodzin. W tym celu w zapisane kartki zawijaliśmy kamyki i wyrzucaliśmy na drogę.

Niektórzy ludzie podnosili kartki i przekazywali je naszym rodzinom. I tak np. kartka wyrzucona przez Jerzego Krzyżanowskiego doszła do celu. Przy okazji powiem, że Krzyżanowski był moim bliskim kolegą. W partyzantce zawsze trzymaliśmy się razem. W wojsku służył w artylerii. Jak rodziny dowiedziały się, że siedzimy w Skrobowie, to zaczęły do nas przyjeżdżać, chcąc porozmawiać lub podać paczki. Strażnicy chcąc ich przepędzić strzelali do nich po szosie. Ponadto zabito dużymi deskami wejście od frontu, tak, że nie można było zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Ponieważ część z nas przebywała na piętrze więc widok mieliśmy nadal. W końcu Kolasznikow zgodził się na podawanie paczek.

Gdzieś chyba na początku listopada zrobili bunt i uciekli nasi podchorążowie. Nie wiem ilu ich uciekło. Dwóch takich, których pamiętam to już nie żyje. Jednym z nich był Lipiński.

Jak do ucieczki doszło? Była to niedziela. Część z załogi obozu, a byli to chyba Ukraińcy - poszła do kościoła do Lubartowa, a podchorążowie w tym czasie zgłosili się na ochotnika do skrobania kartofki. A ponieważ kuchnia mieściła się od frontu, już poza wewnętrzną bramą, mieli do sforsowania tylko jedno zamknięcie. Będąc już w kuchni rozbili trzech czy czterech pilnujących ich wartowników i udało im się uciec. Ja nie wiem dlaczego nasi oficerowie tak słabo porozumieli się z tymi podchorążakami, bo miała być wspólna ucieczka, wszyscy mieli uciekać. Dlaczego podchorążowie nie wytrzymali nerwowo, to nie wiem.

Pod sam koniec pobytu w Skrobowie przyjechał do nas Radkiewicz. Przedstawił się, że jest ministrem spraw wewnętrznych. Chodził od celi do celi. Niektórzy zgłaszali różne skargi. Chodziło głównie o to, żeby powiedział co oni od nas chcą. Jeden z kolegów skarżył

się, że mu pas zabrano. Tak go mocno bolało, że był bez pasa.

Coś Radkiewicz odezwał się i do mnie. Ja tylko tak spojrzałem na niego i nie odpowiedziałem nic. A on wtedy do mnie: Co nie umiecie mówić? Umiem mówić - odparłem, tylko nie ma z kim rozmawiać. (Ja byłem diabelnie jakiś taki zadziorny.) On wtedy mówi do mnie tak: Jak sobie teraz pojedziecie, to wam się wszystkiego odechce. I rzeczywiście na drugi dzień każą nam zabierać swoje rzeczy i wychodzić. Na zewnątrz obstawa niesamowita. Każą nam wsiadać do samochodów ciężarowych. Siadamy tak jak kiedyś, jeden między nogami drugiemu. Po czterech wartowników na każdym wozie. W pobliżu stoi czołg i motocykl z karabinem maszynowym. Po załadowaniu, zawieziono nas do Lubartowa na dworzec kolejowy, gdzie umieszczono w wagonach towarowych. Ze Skrobowa zawieziono nas tam wszystkich. Zamknięci w wagonach jechaliśmy tak chyba przez trzy dni.

Okazało się, że przyjechaliśmy do Stalinogorska, gdzie umieszczono nas w obozie, w pobliżu którego znajdowała się kopalnie węgla. Oprócz nas, pięciuset oficerów ze Skrobowa nie było w tym obozie nikogo więcej. Baraki w których nas umieszczono były stare, zbudowane z drewna. Ściany były nieszczelne. Gdy się patrzyło w miejsca, gdzie deski stykały się ze sobą, to można było księżyc zobaczyć. Stąd w zimie było bardzo zimno. Do ogrzewania baraku stał na środku taki mały na dwie fajerki piecyk. Była to taka "koza", nawet nie z żelaza, lecz z kamienia. Tam można było i tydzień palić i niewiele to dawało. Do okrycia w czasie snu mieliśmy koce. Ale, żeby było cieplej, staraliśmy się spać blisko siebie. Jeśli chodzi o ubranie to chodziliśmy we własnych mundurkach wojskowych.

Ważną rzeczą dla każdego z nas było odżywianie. Normy żywnościowe jakie nam się należały były wywieszane na tablicy. W praktyce jednak ciągle były zamienniki. Na przykład nie było mięsa, to dawano rybę, nie było ryby, to dawano oliwę. I tak ciągle była zamiana na gorsze. Śniadanie składało się z kawy i chleba, którego dawano 400 gram na cały dzień.

Na obiad była zupa na którą składała się taka "kisła" woda z kapusty w której pływało ze cztery jej płatków oraz dwie, trzy łyżki kartofli puree. Nie ma mowy "smaczne" to wszystko było, niesamowicie smaczne. Kruszyнки z tego nikt nie zmarnował. Okazuje się, że nie ma lepszego kucharza jak głód. Wkrótce w grupie kilku osób doszliśmy do wniosku (nie wiem kto to zainicjował), że musimy się dożywiać sami, bo inaczej nie wrócimy do Polski. I tak się też stało. Postanowiliśmy zamieniać u miejscowej ludności nasze rzeczy np. zegarki, płaszcze itp na żywność. Ktoś z nas zgłosił się pierwszy na ochotnika i sprzedał płaszcz wojskowy, który był dobrze płatnym towarem. I tak szło już po kolei. Ta nasza grupka to liczyła chyba osiem osób. Sprzedawaliśmy swoje ciuchy, buty, z tym, że na to konto wcześniej kombinowaliśmy dla siebie jakąś kufajkę, płaszcz czy inny ciuch radziecki. I udawało nam się to. Za sprzedane rzeczy nie braliśmy pieniędzy tylko kaszę jęczmienną, tłuszcz i inną żywność. Pieniądzy nie braliśmy, bo i tak za nie nic nie kupilibyśmy, a podając np. strażnikowi, żeby coś nam kupić, mogliśmy nie otrzymać ani pieniędzy ani żywności. Otrzymaną żywność trzeba było dobrze przechowywać, ze względu na częste rewizje.

Wyglądały one w ten sposób, że kazano zabierać swoje rzeczy i wychodzić z nimi na plac, gdzie przetrzäsano nasze plecaki i dokonywano rewizji osobistej. Schowki nasze były jednak na tyle dobre, że żywności nie znajdowano. My natomiast gotowaliśmy ją i normalnie dla każdego wydzielane były porcje.

Nie były one tak duże, żeby można było się najeść, ale rezultat był widoczny - lepiej od innych wyglądaliśmy. Inni koledzy zaczęli też brać z nas przykład i zaczęli handlować. I dobrze to szło na zdrowie dla wszystkich. Sprawdzało się to twierdzenie, że Polacy zawsze sobie jakoś dadzą radę.

Inną ważną dla nas kwestią jaka wynikła w obozie w Stalinogorsku była sprawa podjęcia się pracy w kopalni. My opierając się na postanowieniach Konwencji Haskiej nie godziliśmy się na pracę. Władze obozowe natomiast nie chciały uznać tego argumentu. Niejako pośrednikiem w tym

sporze był wybrany wcześniej przez nas dowódca obozu rotmistrz Kawecki(był to fajny, porządny człowiek).

W końcu po rozmowach z władzami radzieckimi Kawecki przychodzi do nas i mówi: panowie - możemy nie pracować, ale ponieważ jesteśmy wojskowymi, to mamy mieć codziennie osiem godzin ćwiczeń wojskowych. Zgodziliśmy się z tym, aby tylko nie iść do pracy. I tak zaczęły się codzienne ćwiczenia: żabka, nie żabka, biegi nie biegi i tak przez osiem godzin codziennie.

Wkrótce jednak władze obozowe zaproponowały nam inne rozwiązanie. Nie chcecie pracować to nie pracujcie, ale może w takim razie postawicie dla siebie nowe, wygodne baraki. Przywieźli na miejsce drzewa, papy, lepiku i te baraki się stawiało. Ale ja też tych baraków nie musiałem stawiać. Nas takich było kilku. Był ^{Krzyżanowski} ~~Krzyżanowski~~, Pliszczyński, ja i jeszcze któryś. Nie chcieliśmy w ogóle pracować. Wsadzali nas za to do karca, do takiej mokrej piwnicy. Ale robili to elegancko z uśmiechem " w Rękawiczkach", nie tak jak Niemcy. Po tygodniu wypuszczono nas z karca. Pytają: będziecie teraz pracować? Nie będziemy. To oni znów jakąś karę nam wymyślali. Ale w końcu i my zaczęliśmy pracować, po tym jak nasi wyżsi oficerowie orzekli, że skoro to są dla nas baraki to powinniśmy je zbudować. Tak orzekli między innymi: pułkownik Fied Cybulski, major Abałowicz, Grzegorz Fedorowski - lekarz z 27 dywizji, Kazio (nazwiska nie pamiętam) dziennikarz Kuriera Polskiego. Był to bardzo ciekawy facet, znał kilka języków. Przed wojną był korespondentem zagranicznym Kuriera. Inżynier Stachowski przy pomocy techników (bo tacy też byli wśród nas) zrobili plan i baraki zbudowaliśmy. Wyglądały pięknie. Były piętrowe, z łaźnią, sauną i innymi wygodami. Ale nie dane nam było w nich zamieszkać, gdyż wywieziono nas wszystkich do miejscowości Smoredinoje, gdzie również były kopalnie. Do zbudowanych przez nas baraków przywieziono Własowców (o czym później dowiedzieliśmy się od wartownika). W ten sposób udało się władzom nas wyko-

rzystać.

W Smorodinoje nadal nie chcieliśmy pracować, tylko siedzieliśmy w obozie. Szykanowano nas za to. Dostawaliśmy bardzo mało żywności. Najgorsze to było to, że nas okradano. Robili to wartownicy i żołnierze, którzy nas pilnowali. Z naszej kuchni dożywiali się. W związku z tym zaczęliśmy pisać listy do Moskwy. Z obozu wynosiła je jedna z lekarek.

Reakcją na listy był przyjazd z Moskwy pułkownika NKWD. Nazywał się Bajeczek? W rozmowie z nami, stwierdziliśmy, że my nie pracujemy, ponieważ nie musimy. Natomiast władze obozowe nas szantażują, dostajemy bardzo mało żywności. Na to pułkownik odpowiedział: jak nie chcecie pracować, to nie pracujcie. Macie tu rosyjskie niebo i słońce i opalajcie się, ale żywności to wam więcej nie damy, bo my swoim ludziom nie mamy co dać jeść. To po cholere? nas tu trzymacie?, puście nas do domu - odpowiadamy. A to, to już inna sprawa - odrzekł. W sumie bardzo grzeczny był. Ale gdy odjechał, to było dalej to samo co i przedtem, nic się nie zmieniło na lepsze.

W obozie mieszkaliśmy w kilkunastoosobowych pomieszczeniach. Raz w tygodniu, czasem nawet dwa razy na tydzień chodziliśmy do łaźni, która była poza obozem. Chodziliśmy tam dwójkami, śpiewając po drodze. Kobiety tak się nam przyglądały i mówiły: chłopcy jak złoto, a ich kąpią i kąpią.

W związku z tym chodzeniem do łaźni wynikła dla mnie strasznie nieprzyjemna sprawa. Otóż był z nami taki stary pułkownik. Miał chyba 74 czy 75 lat. Był on z pułku zapasowego z Majdanka. Jak jechał z nami to myśmy się bardzo o niego upominali. Nie wieście go, wyślijcie go z powrotem do kraju, po co ten dziadek ma z nami być. Nic to jednak nie pomogło. I gdy szliśmy do łaźni dziadek ten nie mógł przedtąpić przez próg i wtedy wartownik pchnął go, tak, że ten upadł na cement, ścierając sobie twarz i obijając ręce. Ja wtedy nie wytrzymałem nerwowo. Wieśz, mówię do tego wachtiora, kogoś ty pchnął?! Oficera, pułkownika pchnąłeś i dałem mu w pysk aż się przewrócił. Złapałem jego pepeszę i odrzuciłem daleko, bo bałem się, że będzie strzelał.

Po tym co zrobiłem, zdałem sobie sprawę, że przyszedł dla mnie jakiś życiowy moment.

Gdy wracaliśmy do obozu, to wszyscy tak do mnie: coś ty narobił. To już koniec. I taki Czesio Sawicki podchodzi do mnie i mówi: idioto, co ty narobiłeś. Ja w końcu na to wszystko mówię: odczepcie się ode mnie i koniec. Przyszliśmy do obozu. I tu wartownicy zaczynają wyciągać za bramę zamiast mnie takiego faceta z wąsami, Bieruta. Ja widząc to, zachodzę do swojego pokoju, czyszczę buty, zakładam mundur (miałem jeszcze mundur, bo część kolegów, to już posprzedawała swoje), biorę czapkę polówkę i mówię do rotmistrza Kaweckiego: Panie rotmistrzu proszę mnie zameldować u tego ruskiego enkawudzisty, że to ja, a nie Bierut uderzyłem wartownika. No i to był mój taki życiowy moment. Bo to wszyscy oficerowie patrzyli na mnie jak ja w tej sytuacji postąpię. Rotmistrz Kaweckie zgodził się pójść. Miał on prawo wychodzenia poza obóz. Poszedł do takiego białego domku, gdzie była siedziba enkawudzistów. Wrócił z wartownikiem, który zabrał mnie ze sobą i zaprowadził do naczelnika obozu. Naczelnik mówi do mnie, że to jest nieprawdą, że ja uderzyłem, bo skoro żołnierz twierdzi, że to Bierut go uderzył, to na pewno ma rację. Ja na to mówię, że wasz żołnierz jest chyba głupi. Niech tu przyjdzie i zobaczy mnie, czy to ja go uderzyłem, czy nie ja. Naczelnik na to: żołnierz nie ma co tu przychodzić. Skoro ty się przyznajesz, to Bieruta puszczają, a tobie i tak już wszystko jedno. I rozmawialiśmy sobie dalej. Ty wiesz, mówi naczelnik, że rozkaz Stalina jest taki, że kto dotknie żołnierza radzieckiego, to musi być ukarany śmiercią. A ja mówię mu, że taki sam rozkaz wydał generał Berling (ale ja wiem czy wydał, czy nie wydał, ale co miałem mówić), że kto żołnierza polskiego ruszy - a jeszcze w dodatku oficera - to też należy takiego rozstrzelać, a wy jeszcze chodzicie bandyty.

Wtedy on skoczył do mnie z krzykiem. Ja chwyciłem kałamarz i do niego. I on w pewnym momencie zreflektował się i mówi do mnie: uspokój się, uspokój się. Wezwał wachtiora i zaprowadzili mnie do obozu. Niecały miesiąc po tym wydarzeniu byłem w tym obozie Smorodinoje, po czym kazali mi zabrać rzeczy i wywieźli do Donbasu.

Przedtem jednak w Dobowym(?) Siole (chodzi tu chyba o Smorodinoje) miał miejsce bardzo poniżający dla nas Polaków moment. Do baraczku poza obozem przyszli Niemcy. Byli to wojennoplenni. I gdy my szliśmy do łaźni to oni z pałami obstąpili nas i eskortują zamiast ruskich, którzy już z nami nie idą. My wtedy chwyciliśmy za te pały, spraliśmy i przegoniliśmy ich i sami wróciliśmy do obozu. Powiedzieliśmy wtedy Ruskim, że jak jeszcze raz dadzą nam jako kapo Niemców, żeby nas prowadzili, to ich zatłuczem. Ale na tym jednym razie się skończyło. Więcej Niemców nam nie dawali. Bo tak robić nie należało. Myśmy z Niemcami przecież walczyli, oni przegrali, a w obozie mieliby nas eskortować. Ale w tym przypadku wszyscy stanęliśmy jak jeden mąż i sprzeciwił się.

Gdy przywieziono mnie do Donbasu i weszliśmy przez bramę obozu, to stwierdziłem, że nie ma tam nikogo z Polaków tylko sami oficerowie niemieccy. Był to listopad 1945 rok. Zapamiętałem to stąd, bo akurat na placu odbywał się mityng w związku z rocznicą rewolucji październikowej. Stanałem na końcu szeregu. Przemawiał akurat Ruski, a tłumacz przekładał na język niemiecki. Ja rozumiałem to co mówione było po rosyjsku. Chodziło o to, że jutro wszyscy powinni iść do pracy, żeby uczcić święto rewolucji, że muszą tyle to, a tyle zrobić normy, że Niemcy swoją pracą powinni się zrehabilitować. ~~Poszedłem~~ ^{Poszedłem} tam trochę i rozeszliśmy się. Podszedł do mnie oficer niemiecki i zaprosił na obiad. Po obiedzie ten oficer, a był to chyba major zaczął wypytywać czy byłem partyzantem i za co mnie zamknęli. Odpowiedziałem, że nie wiem. W końcu odszedłem do miejsca gdzie stało moje łóżko. Obok miał łóżko Austriak o nazwisku Kwiatkowski. Rozmawiał trochę po rusku, tak, że dogadaliśmy się. Powiedział mi, że bym uważał, bo tu są niedobrzy Niemcy.

Na drugi dzień rano wychodziło się do pracy. Ja natomiast nie chciałem iść i zostałem, dalej leżałem w łóżku. Aż tu koło godziny dziewiętej wpadają do baraku Ruskie, jak szatany i do mnie: Co ja sobie myślę? Oni za mnie krew przelewali, głowy kładli, a ja nie chcę im za to odpracować.

Ja mówię do niego - ty durny, za siebie-to ja przelewałem krew, a nie ty. Oni wtedy na krzyk chcą mnie brać, ja do nich tak samo. Zrobiła się awantura. Niemcy patrzą na mnie jak na bohatera. W końcu uspokoiło się. Ale w obozie tym zdołałem przebyć tylko dwa dni i znów mnie wywieziono.

Na temat Niemców w tym obozie, to muszę powiedzieć, że odnosiło się wrażenie, że jest to podły naród. Bo jak mieli broń, jak byli mocni, to butni byli, natomiast w obozie to płaszczyli się niesamowicie, aż wstyd było patrzeć na nich. Może to nie wszyscy tacy byli, ale w tym obozie, to tak było.

Z Donbasu przewieziono mnie do obozu nad rzeką Moskwą w miejscu, gdzie odchodzi od niej kanał. Nazwy miejscowości nie pamiętam. Jeszcze zanim znalazłem się na miejscu, od konwojującego mnie wartownika dowiedziałem się, że jest to obóz esesmański. Powiedział mi, że Niemcy przebywający tu pracują w kamieniołomach, w których pracowali jeszcze za cara zesłani tam Polacy.

Gdy wprowadzono mnie do baraku usłyszałem jak Niemcy między sobą wymieniali słowo :Polnisze, Polnisze.

Zorientowali się kim jestem, ponieważ byłem w mundurze. Ja wiedząc już kim są, nie chciałem się do nich odzywać.

W baraku tym przebywałem tylko może dwie, trzy godziny. Dano mi bowiem puszkę po świńskiej tuszonce i kazano iść na obiad. Gdy wszedłem na stołówkę, to Niemiec rozdzielający obiad, gdy mnie zobaczył, to zagarnął tej zupy tak byle jak, że samej wody mnie nalał. Tak się tym zdenerwo- wałem - a przypomniałem sobie jeszcze jacy to oni byli dranie, że otrzy- maną zupę wylałem przez okienko na twarz tego Niemca. Zupa była gorąca. Na stołówce zerwał się krzyk. Esesmani rzucili się do mnie. Całe szczę- ście, że przy okienku stała żelazna sztaba, służąca do jego zamykania, gdy nie było czynne. Złapałem tę sztabę i uciekłem w kąt. Jeden z Niem- ców mnie dopadł, to go przez łeb tą sztabą. On upadł, to ja wtedy drugie- go. Aż przylecieli wartownicy i zaczęli strzelać. Zabrali mnie zaraz stamtąd i wyprowadzili za druty poza obóz.

Zaczęła się teraz kłótnia z Ruskimi. Ja im zarzucałem, że nie powinni mnie do takiego obozu przydzielać.

Do tego obozu już nie wróciłem. Całą noc przesiedziałem na krześle w domku poza obozem. Cały czas pilnował mnie wartownik. Rano zaś zabrano mnie i nastąpiła długa podróż - jak się okazało do Lubercy pod Moskwą.

Przywieziono mnie tam rano. Był tam teren fabryki rolniczej. W czasie wojny produkowano tam chyba broń, gdyż na placu leżało jeszcze dużo amunicji. Odbywał się akurat apel. Kazano mnie stanąć na końcu. Okazało się że skład więźniów jest bardzo różny. Byli tam folksdojcze, rajsdojcze, Rumuni, Węgrzy, Francuzi, również Polacy m.in. gdzieś z okolic Kalisza. Obok byli również Niemcy. Obóz nazywał się internacjonal. Wachtior tak chodzi, liczy i wskazanym przez siebie osobom każe występować i iść do pracy. Podchodzi w końcu do mnie, patrzy się i pyta: A ty skąd jesteś? Ja odpowiadam, że z Lublina. To ty w armii byłeś?. Odpowiadam, że tak, w ósmej dywizji w 34 pułku piechoty byłem. To ty mnie nie poznajesz? - mówi. Okazało się, że był to Berjozec z tego samego pułku co ja. Ja go nie poznałem, no bo tych Ruskich tylu było. A on mnie poznał. Ucieszył się, że tu jestem, wziął mnie ze sobą do kancelarii i powiedział, że będę magazynierem zajmującym się ciuchami.

Dał mi klucz, trzech Węgrów do pomocy i poszliśmy do tego magazynu. Nic tam szczególnego nie było. Trochę porwanych koszul i innych rzeczy. Policziliśmy wszystko zaprowadzając kartotekę. Zabrało to nam tydzień czasu. Berjozec przyszedł, sprawdził, pochwalił nas, że wszystko zrobione.

W tym czasie do magazynu zaczęły napływać niemieckie płaszcze. Prawie każdy z nich był podbity albo karakułem albo foką, albo czymś innym. W związku z tym zwróciłem się do Berjozina - mówiąc mu, że te podbicie w płaszczech są w magazynie niepotrzebne, że można coś z nimi zrobić. Berjozin mówi: to wypruj to. A kiedy już to uczyniłem to mówię do niego: Puść ty mnie z tym kiedyś do miasta. Dobrze - odrzekł, pójdziesz kiedyś jak będą jechać po żywność. Wobec tego zrobiłem trzy paczki z tymi karakułami i przy najbliższej okazji pojechałem do Moskwy i sprzedałem je. Uzyskane

pieniądze zaproponowałem aby wziął Berjozin. Byłem bowiem raz u niego w domu, to widziałem jaka tam straszna nędza była. Tam nawet naczelnik obozu prosił często aby mu dać parę deka krup, to znaczy kaszy. Takie były w Rosji w tym czasie warunki. Ja wówczas pytałem magazyniera czy ma jakieś nadwyżki żywności. Okazywało się, że miał, bo czasem jak pojedechali na bazę to ukradli worek krupy czy czegoś innego. Raz pojedechałem i ja po żywność.

Jeździło się do Moskwy, gdzie była duża baza. Podjechaliśmy na miejsce i braliśmy masło, mięso, kiełbasy. W trakcie ładowania przyjechało NKWD i nas stamtąd usunęli. Oni musieli być pierwsi. Ale my na wozie już trochę mieliśmy. Ze trzy godziny czekaliśmy aż sobie naładują, po czym z powrotem podjechaliśmy. Magazynierzy zaczęli nam wydawać od początku, tak jak byśmy nic przedtem nie mieli. No i dobrze, że tak się stało, bo mieliśmy w ten sposób spore nadwyżki.

W czasie pobytu w obozach ciągle nam mówiono, że wkrótce wrócimy do Polski. Ale mówili to chyba po to, żeby ludzi denerwować, nerwowo wykończyć, bo czas płynął a obietnice nie sprawdzały się. I właściwie to nikt już im nie wierzył.

Jeśli chodzi o mnie to ja nie wierzyłem, żebym mógł inaczej wrócić do domu, jak przez ucieczkę. Staralem się tylko znaleźć taką możliwość. Nadarzyła się ona w Lubercach. Niestety po trzech dniach zostałem schwytany i za karę wysłany do obozu w Odessie.

Jeśli chodzi o ucieczki, to właściwie nie bardzo było można uciekać. Na przykład później w Odessie miałem takich znajomych, co uciekali, to zostali złapani w pociągu już niedaleko Przemyśla.

Tam u nich jest taka sprawa, że każdy most, każde przejście jest pilnowane. Poza tym jeść nikt nie dał, bo przeważnie sam nie miał. Ponadto ludzie byli tam wystraszeni. Nagadano im, że włóczą się różni dywersanci, szpiedzy.

Ja w końcu uwierzyłem, że będą nas wysyłać do Polski. Przekonał mnie o tym Berjozin. I ja wszystkim o tym mówiłem, że wrócimy. Mówiłem, że

wiem to od ruskiego, który grzebie się w papierach obozowych pomagając naczelnikowi. Wiedziałem, że każdy z nas ma założoną kartotekę, od Berjozina dowiedziałem się, że ja jestem zaliczany do "bardzo niebezpiecznych". A jeden z wartowników powiedział mi: no ty porucznik pojedziesz do Polski ale ty papiery to masz "niesamowite". No może i miałem.

W Lubercach to był obóz w którym odżywiali już lepiej tych co mieli niedługo wracać do kraju. Ale dla mnie to była jeszcze długa historia, bo wróciłem dopiero za rok. Berjozin zresztą mnie tłumaczył, że to nie od razu łak wysyłają do Polski. Przedtem przejdę jeszcze inne obozy.

Jeśli chodzi o tego Berjozina to on wiedząc, że ja mogę mieć jeszcze pieniądze, zaprosił mnie kiedyś do domu, gdzie tłumaczył mi, że stąd niczego wywieźć się nie da. Twierdził, że tak było do tej pory, że nikt niczego stąd nie wywiózł, gdyż mu zabierano.

Znalazłem się wtedy w rozterce, bo faktycznie myślałem o tym, żeby kupić sobie od ruskich na targu jakiś garnitur czy coś innego. Ale skoro nic się nie da wywieźć, to po głębokim namyśle oddałem pieniądze Berjozinowi. Potem żałowałem tego, bo długo jeszcze tułałem się po obozach. I na przykład w Odessie bardzo by mi się ruble przydały.

W Odessie znalazłem się latem 1947 roku. Przebywałem tam ze trzy miesiące. I tutaj też nie chciałem pracować. Dlatego za karę wsadzono mnie do piwnicy, do takiego karca.

Obóz nasz był położony przy torach na Nowej Odessie. Tory kolejowe dzieliły miasto na Nową i Starą Odessę. Miasto usytuowane jest na wzgórzach. Ulice są takie, że dużo chodzi się po schodach. W pobliżu naszego obozu był zwalony przez Niemców most kolejowy. I trwała tam właśnie budowa nowego mostu. Po jego zbudowaniu nastąpiło uroczyste oddanie go do użytku.

I jest taki moment, że jedzie pociąg udekorowany kwiatami, wjeżdża na most, a on się cały wali. Kobieta - inżynier skoczyła z tego mostu i się zabiła. Dlaczego ten most się zawalił?. Nie był to chyba sabotaż. Po prostu w czasie budowy rozkradano materiały budowlane a szczególnie cement. Tam rozkradano to niesamowicie. I z tego powodu słupy nie wytrzymały i wszy-

stko runęło.

Będąc w Odessie otrzymałem dwukrotnie przepustkę na wyjście do miasta . Po przepustkę zwarcałem się sam. Jak wyszliśmy w kilku do miasta, to udaliśmy się do takiego klubu o nazwie Klubzor. Jak wszedłem to pierwsze co grali tańczyli to było "Gdybym się urodzić miał to tylko we Lwowie". To nie były słowa, tylko muzyka. Grało to trzech mężczyzn i dwie kobiety. Zafudowaliśmy sobie po takiej wysokiej szklanicy wina i wafle. Jedna taka porcja kosztowała osiem rubli.

Jak się przyglądałem w tym klubie, to wszystko było dla mnie takie ciekawe, nawet uderzające.

Tam jak się chce tańczyć z dziewczyną, to nie ma jakiegoś grzecznego zapraszania, tylko się dziewczynę łapie za głowę, kołnierz, czy za warkocz i mówi się: no choć pohulamy. Dla mnie nie wyglądało to fer. Stwierdziłem, że na tamtej zabawie było trochę Gruzinek. Oprócz klubu byłem jeszcze na targu. Porozumieć się tam wszędzie można było po Polsku. Na przykład takie słowa się słyszało: "Oj kochanieńki, choć do mnie, choć porozmawiamy". I to po polsku. Okazało się, że żołnierze pracujący w porcie przy rozładowywaniu statków przynosili w kieszeniach sól. W tym czasie była ona bardzo droga. Wymieniali ją z ludźmi na oliwę, kaszę czy chleb. Tak , że z tej soli można było żyć dobrze.

W obozie w Odessie były różne narodowości. Oprócz Polaków byli Francuzi, Łotysze , Finowie, Niemcy. Najlepiej traktowani byli przez Rosjan, Niemcy.

Z Odessy wywieziono mnie do Połtawy, następnie do Możajska, gdzie byłem ze dwa miesiące, po czym trafiłem do Tuły.

W obozie w Możajsku przebywali też Własowcy - kobiety i mężczyźni. Współwięźniowie pastwili się tam bardzo nad tymi kobietami. W nocy słychać było jak wzywały one pomocy krzycząc: naczelnik, naczelnik! I te kobiety w końcu zabrano, gdzieś do innego obozu, a Własowcy pozostali. Z ich strony słychać było skandowanie: naczelnik chleba, naczelnik chleba!. W końcu przyszli wartownicy i porozpędzali ich. Wówczas zbiera się grupa Własowców i grają o naczelnika obozu. Który z nich przegra ten ma urznąć mu głowę. I tak się stało, że urznęli mu ją. Ci Własowcy, to byli więźniowie skazani

z wyrokami, oni wiedzieli, że z obozu nigdy nie wyjdą i nie będą żyć. Dlatego tam naczelnik, to musiał być bardzo ostrożny.

Byłem jeszcze w takim małym obozie. Była to mała miejscowość, a my na uboczu jej. Nie pamiętam jej nazwy. Tam to było prawdziwe nieszczęście. Myślałem, że nas już wykończą. Budynek w którym mieszkaliśmy, to musiała być przed rewolucją jakaś dworska obora. Obecnie na dole była mała fabryczka narzędzi rolniczych, a na górze był normalny strych, gdzie spaliśmy. Były tam tylko mocno wytarte sienniki. Słoma w nich, to już nie była nawet sieczka, ale to był popiół. W podłodze były otwory, co powodowało przeciągi. Pozatykaliśmy je słomą. Przebywaliśmy tam całą zimę w trzydziestostopniowym mrozie.

W takich warunkach trudno było zasnąć. Spało się pięć minut i trzeba było wstawać i biegać. Długość tego strychu była ze sześćdziesiąt metrów. I jak biegaliśmy po nim, to każdy tylko patrzył, żeby wskoczyć do środka i ogrzać się jeden od drugiego. I przez całą zimę nikt się nawet nie przeziębził. Jakoś wszyscy byli odporni.

W tym obozie ja nadal nie chciałem pracować. Ponieważ inni się buntowali, że ja nic nie robię a oni robią, to przenieśli mnie do innego obozu.

Chcę powiedzieć, że były jeszcze takie obozy, które znam mogące np. pomieścić tylko dwa tysiące osób, a było ich tam faktycznie pięć tysięcy. Jak to się działo? Otóż jak jedna zmiana szła do pracy, to druga spała i odwrotnie.

I tam idąc do pracy trzeba było zabierać ze sobą wszystkie swoje rzeczy np. kociołki, czy coś innego, bo potem już tych rzeczy nie można było znaleźć, bo kto inny spał już na tym miejscu.

Wrócę jeszcze do obozu w Stalinogorsku i do tego obozu Własowców cośmy im sami zbudowali. Nasi lekarze mieli sporo różnych instrumentów, narzędzi lekarskich. Gdy ci Własowcy przyszli to wszystkie narzędzia pokradli.

Idzie wtedy Kawecki do drutów oddzielających ich od nas i mówi po rusku do nich: Słuchaj, widzisz jakie z was dranie- ukradliście nam wszystkie instrumenty. A przecież wy potrzebujecie i my potrzebujemy. Ten, który

rozmawiał, odrzekł, że on nic nie wie, że musi zawołać Wańkę. Przychodzi Wańka, a Kawecki mówi do niego: Słuchaj no, ja z tym kolegą rozmawiałem o tym, że mieliśmy na izbie przyjąć narzędzia lekarskie i wszystkie nam skradziono i on mówi, że ty będziesz o tym wiedział. A Wańka na to: Ja jestem "krupnyj wor" (gruby złodziej), a to zrobił "miełkij wor" (~~dobry~~ ^{drobny} złodziej), ale mówi - ja to zaraz załatwię. Udał się do swoich i po pewnym czasie przychodzi z facetem i mówi, że to on. I mówi tak do niego ty oddaj im te narzędzia, bo to przecież też ludzie z obozu. I tak złodziej został przekonany - zwrócił wszystkie narzędzia.

A dlaczego nasz major Kawecki miał taki dar przekonywania? Ponieważ on całe życie służył na granicy radzieckiej, był wopistą. I on nauczył się z takimi ludźmi rozmawiać. Poza tym umiał śpiewać piękne piosenki.

Jeden z czterech naszych obozowych lekarzy, którego nazywaliśmy "Tuchajbejko", ponieważ pochodził gdzieś z terenów mongolskich - taki fajny chłopak, przychodzi raz i mówi, że ma do mnie interes. Ten wasz Wilga - mówi, to takie piękne "chryściki" (krzyże) robi i on by chciał taki mieć dla siebie i dla swojej pani (panny) zawieźć. Ja miałem mu to załatwić. Ale mówię, przecież Wilga za darmo tego nie robi. Ja wiem odrzekł i wkrótce przyniósł kawałek masła i coś tam jeszcze. W sumie te chryściki to były warte pół tego, może ćwierć tego co on dał, ale dla niego miały one wielką wartość.

Jeśli chodzi o Wilgę, to on "wyciągnął" od nas wszystkie szczotki do zębów, zostawiając tylko kawałek i wyrzynał z nich krzyżyki. Natomiast postać Chrystusa wykonywał z aluminium i łączył to w całość.

Wilga to był podporucznik z Powstania Warszawskiego. Gdy "Tuchajbejko" miał jechać do domu znowu zwrócił się do mnie z prośbą, żebym poradził mu gdzie ma schować te krzyżyki, żeby ich nie znalezione przy rewizji. Sam nie mógł się zdecydować, gdzie ma je włożyć, gdyż wszędzie wydawało mu się, że je znajdą. Pomogłem mu więc zaszyć je w ubraniu i pojechał do domu. Jak wrócił to przywiózł kumysu, którym poczęstował nas. Taki pachnący był ten kumys. Jodłą czy sosną pachniał.

Mnie zastanowiło w tej sprawie to, że lekarz i na dodatek Mongoł i chciał mieć te krzyżyki.

Opowiem jeszcze, jak nas kilku z obozu - nie pamiętam już za co wzięli do kryminału. Gdy nas zawieźli na miejsce, weszliśmy do celi aby złożyć swoje rzeczy i udaliśmy się do łaźni. Gdy wyszliśmy z łaźni - patrzymy a tu nie ma naszych ubrań, tylko ręczniki leżą na miejscu. Wszystkie nam ukradli. Mówimy do tych naszych współwięźniów, żeby oddali nam nasze rzeczy, a oni nie chcą. Jeszcze nam naubliżali. Więc prosi ich nasz kapitan (prawdopodobnie był to łącznik Bora-Komorowskiego) żeby oddali. Oni nadal nie chcą oddać.

Więc jest taki moment, że kapitan zarządza ogólne łanie tym naszym współwięźniom i zaczyna się. Każdy dorwał swego i gania. W końcu wgoniliśmy ich ^{pod} na prycze. Wtedy dopiero zgodzili się oddać nam rzeczy i rzeczywiście szybko oddali. Wszystko było już w porządku i kapitan podzielił się z nimi tytoniem, bibułką do tytoniu i mydłem. Najbardziej to im chyba zależało na bibułce. Mydła to oni mieli mało. My dostawaliśmy też niewiele, ledwie wystarczyło się umyć.

Czy mieliśmy możliwość kontaktowania się z rodzinami w kraju? Odpowiedź może być jedna, takiej możliwości nie było. Mnie chyba tylko jednemu udało się wysłać list, który dotarł do domu. Inni koledzy pisali, próbowali wysłać i nic nie dochodziło.

Z moim listem to był taki fakt, że od kobiety-felczera otrzymałem taki "wojennoplennyj" niemiecki karton na którym się pisało. Był on dwuczęściowy. Po dojściu listu do celu na drugiej części można było odpisywać. Napisałem po rusku parę słów: że żyję, że jestem zdrow, gdzie się znajduję i wysłałem do domu. Rzuciła mi list na poczcie ta sama pani felczer. Ponieważ druk był niemiecki, na poczcie nie zorientowali się i napisali, że Lublin to Germania. I dlatego może tylko ten list doszedł do Matki.

Po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź z domu na tym drugim odcinku kartonu. List był pisany przez brata. Nim go dostałem do przeczytania miałem trochę kłopotów. Najpierw przyszedł do mnie enkawudzista i mówi:

słuchaj-pisałeś ty list? Ja mówię - bo co? A on dalej: Pytam się czyś pisał list do domu? Pisałem - mówię. A kto ci go rzucił? A nikt. Szedłem do łaźni i rzuciłem. Tam przecież nie ma żadnych skrzynek po drodze. A szedł tam jakiś człowiek i poprosiłem go żeby wrzucił. A kto to był?, jak wyglądał? A nie wiem - mówię, daj mi spokój. I za to, że nie chciałem powiedzieć, nie oddali mi tego listu jeszcze przez dwa miesiące. W końcu dali mi go do przeczytania, po czym schowałem go do kieszeni. Za tydzień był przegląd osobisty i zabrali mi go, żeby już więcej nie oddać. Tak, że nie wrócił on ze mną do Polski. A w Lublinie jak mój list dotarł do domu, dowiedziała się o tym matka Krzyżanowskiego i rodziny innych kolegów. I oni też zaczęli pisać. Ale ludzie z Polski jak pisali, to zawsze im odpisywano, że taki tu nie przebywa.

Opiszę teraz jak wyglądały ranne apele. Był to rodzaj mityngów na których Ruski oficer ogłaszał np., że dzisiaj taka, a taka fabryka tyle traktorów zrobiła, a jeszcze jak wojna była, to na froncie dzieje się to, a to. A co najsmutniejsze było w tym wszystkim na koniec to okrzyk oficera "niech żyje Stalin". A my wszyscy automatycznie odpowiadaliśmy : niech żyje. A w tym czasie to każdy jeszcze drzemał, bo to rano było.

Tym ruskim oficerem to był kapitan Zubow. Na takim rannym mityngu dziewiątego maja 1945 roku wykrzykuje on z radością do nas : Wojna skończona. Druzja! Hitler pogib. A my wszyscy krzyczymy: niech żyje! Zawsze było niech Stalin żyje, a tu cholera pomyliło nam się tym razem. A ten Zubow stoi tak i stoi, czapkę zdejmuje i łup nią o ziemię. Takiż faszyci - mówi.

Byłem jeszcze w takim obozie, którego nazwy nie pamiętam. Było tam małe miasteczko, bardzo zniszczone, elektrownia zbombardowana. Budowano ją od nowa. Pracowali tam więźniowie z obozu w którym przebywałem. Kiedyś zwrócili się do mnie, abym poszedł z nimi do pracy po to, żeby zobaczyć takie wielkie małe w rzece, żeby móc orzec, czy to się nadaje do jedzenia, czy nie.

Wstąpiłem więc do tej grupy, która szła do pracy i poszedłem z nimi. Zaszedłem nad rzekę i stwierdziłem, że małże te mają wygląd podobny do żółwia. Nabrałem tego całe wiadro. Koledzy pytają się wtedy czy to jest jadalne. Odpowiedziałem, że jadalne. Pomyślałem sobie bowiem, że chyba taką małżą nie można się otruć. Kazałem im wycinać to ze środka. Wyglądało to jak serca. Ugotowaliśmy tego całe wiadro. Jedzenie było niesamowite. Wszystkim tak posmakowało, że mówią do mnie : ty chodź z nami do pracy. My będziemy pracować, a ty będziesz zbierał te małże. I tak chodziłem z nimi na tę robotę przez dwa miesiące, dokąd mnie nie wywieźli z tego miejsca gdzie indziej.

Opowiem jeszcze jak Polacy pracowali w kopalni. Sam nie pracowałem, ale koledzy którzy tam pracowali opowiadali mi. Między innymi jeden z moich kolegów - „Propaganda” tam był, to może powtórzyć.

Otóż Polacy w tym przypadku nie chcieli pracować tak porozrzucani między ruskimi, lecz chcieli być sami na jakimś odcinku kopalni. I władze dały im taki odcinek. I pracowali tak, że po jakimś czasie Ruscy zaczęli przywozić swoich szefów, żeby zobaczyli jak powinna wyglądać praca w kopalni. Bo u ruskich to strasznie się tam wszystko zawałało, łamało, dusiło ich, a u Polaków nie było tego. Bardzo dobrze pracowali, czysto, dbali o bezpieczeństwo pracy. Na dodatek to była mokra kopalnia - a dawali sobie radę. To, że żołnierze może i chcieli iść do kopalni było wynikiem tego, że musieli i tak gdzieś robić, ponieważ nie chroniła ich żadna konwencja, a druga sprawa, że dostawali dodatkowo takie "bełty".

Była to posolona i rozmieszana mąka. Wyglądało to jak krochmal. Taka mąka to trochę kalorii dawała powodując wzmocnienie organizmu. Jeżdżąc tak po wielu obozach zaobserwowałem też jak układały się stosunki między samymi ruskimi.

Jest na przykład naczelnik, jest jego zastępca i jeszcze ktoś trzeci I ten trzeci ma jakieś lepsze plecy" . I powoduje on to, że zamkną za coś tego zastępcę, a on sam przychodzi na jego miejsce. Takich przypadków

to znam dużo, z okresu późniejszego, kiedy byłem już poza naszym obozem oficerskim. Pytam raz takiego ruskiego - za co ty siedzisz - nie chcesz porozmawiać ze mną. Początkowo nie chciał, później stopniowo zaczął opowiadać. Mówi : u mnie w domu nie ma co jeść - a tu przynajmniej zupę dostanę. Ale jak się później okazało to, nie ta przyczyna była. W jakimś tam mieście wojewódzkim miał on ładne mieszkanie, żonę i dwoje dzieci. I kiedyś naczelnik mówi do niego: byś mnie zaprosił do siebie, wypilibyśmy po kielichu. Ten mówi proszę bardzo. Naczelnik przyszedł. Zachwycony był ładnym mieszkaniem, żoną gospodarza, że tak dobrze gotuje. Zjedli wypili, a za miesiąc , może za dwa naczelnik zwraca się do niego z propozycją, żeby się zamienili na mieszkania. A ten mój ruski odpowiada, że jak on może się zamienić, jakim prawem. I po tym przestają ze sobą rozmawiać. A za miesiąc już go aresztowano. Żonę usunięto z mieszkania, dając jej mniejsze i dopłacając trochę rubli, a jego wywieziono na północ, do innego obozu. I on tak powiedział że on rodziny już nie ma, że do domu już nie wróci. I takich wypadków było wiele. W obozach spotykałem dużo Rosjan. Za co oni siedzieli?

Otóż byli to Rosjanie z terenów, które wcześniej zagarnęli Niemcy. Byli tam cywile, ale i ci którzy byli w partyzantce, którym kazano zastać na tyłach frontu, żeby walczyli z Niemcami. Teraz oni wszyscy byli dla władz radzieckich niepewni i musieli przez trzy lata przebywać w obozie. Oni tą metodę nazywali "gosprewierka" albo "gosudarstwennyj filtr". Mnie to najbardziej zaskoczyło, że ludzie którzy bronili swojej Ojczyzny, walczyli z Niemcami, teraz musieli siedzieć w obozie. Ale jak się okazało oni byli z tego zadowoleni. Bo jak twierdzili, tutaj to przynajmniej jedzenie mają zapewnione.

Jeśli chodzi o nas Polaków, to szczególnie w początkowym okresie jeszcze w Stalinogorsku cały czas kontynuowano śledztwa. Były bardzo uciążliwe. Na badanie zrywano ludzi ze snu w nocy. Stawiano różne zarzuty. A to, żeś był volksdojczem, alboś w AK zabił dwóch żołnierzy radzieckich, albo coś robił w wojsku. Mamy na to dokumenty - mówili.

Poza tym mścili się na nas, że my pracować nie chcemy. Tak układali całe życie obozowe, żeby człowiek się kończył.

Ponadto nie wszyscy z nas byli razem do końca, ponieważ władze rozdzielały nas na grupy. Niektórzy wrócili wcześniej do Kraju, inni przenoszeni byli gdzie indziej. Np. Krzyżanowskiego Jerzego, to przenieśli ze Stalinogorska do Riazania - tam gdzie "Marcin" był. Pliszczyńskiego to tak ktoś mocno reklamował, że wrócił do Polski wcześniej - po półtora roku. Muszę tu powiedzieć, że z niego też "zadziora" był w obozie. Dohry był - bo też pracować nie chciał. O sobie to już mówiłem, że mnie ciągle przerzucano z obozu do obozu. Ale muszę stwierdzić, że mnie to życie ułatwiało to, że do mnie jakoś ludzie sympatię czuli. Nie wiem może to dlatego, że w niektórych obozach to ja jeden tylko w wojskowym mundurze byłem.

Jeśli chodzi o opiekę duszpasterską, to takiej nie mieliśmy. Księży tam nie było.

Natomiast w każdym obozie organizowała się jakaś grupa, która organizowała życie kulturalne. Były piosenki, skecze. Na to każdy czekał, bo można było się trochę pośmiać i zapomnieć o wszystkim. Pamiętam np. taki skecz: Jest trzech ludzi, a między nimi Ruski i Polak. Ruski mówi do Polaka: słuchaj wybudujemy sobie wspólny dom, ten odpowiada: ja nie chcę, ja wolę mieć maleńki dom, ale swój, własny". Wiele było takich skeczy. Układał je m.in. Krzyżanowski. Jego autorstwa jest skecz p.t. "Własny dom", "Broń z nieba", następnie wiersz p.t. "Idziemy do was idziemy". Ten wiersz przepisałem i powinien gdzieś w domu być.

Wreszcie przychodzi listopad 1947 r. Wyczytują mnie i jeszcze trzech czy czterech, każą zabierać swoje rzeczy i wyruszamy w drogę. Jak się okazało przyjechaliśmy do Brześcia. Po wyładowaniu nas w Brześciu, umieszczono nas w pałatkach, gdzie spaliśmy. Następnie z rzeczami kazano nam iść do łaźni wykąpać się. Odczytano tu listę. No to wszyscy wtedy: mówią, że teraz to napewno do domu pojedziemy. W łaźni wyglądało w ten sposób, że weszliśmy jednymi drzwiami zostawiając wszystkie rzeczy

i ubrania na kupkach, a po wykąpaniu się wyszliśmy drugimi drzwiami, gdzie dostaliśmy inne już buty, fufajki i inną odzież. Czapkę dostałem taką ze szpicem. A ubrania w których przyjechaliśmy wszystkie zostały. Tak że prawdę Berjozin powiedział, że nic stąd nie wywozę. Dobrze więc, że mu oddałem pieniądze. Porządny z niego człowiek był.

Porobiono nam zdjęcia i załadowano do bydłęcych wagonów. Nie mogłem początkowo nikogo poznać, bo każdy był w takiej czapce ze szpicem. Spotkałem wreszcie kilku znajomych, co jeszcze wcześniej z Polski znałem. Wagony nam zadrutowali i ruszamy. Wśród nas konsternacja. Gdzie my jedziemy? Przejechaliśmy granicę na polską stronę, patrzymy się a tu pociąg nagle staje. Wyglądamy przez okienka, a tu szczere pole.

No, myślimy sobie będą nas rozwalać czy co? Różne już myśli zaczynają przychodzić do głowy. W wagonach zaczyna się krzyk, wrzask. Oj, nie dobrze - myślę sobie. A ten leśnik Czesio Sawicki mówi tak: Chłopaki bronić się będziemy. Nie dać się wyciągać z wagonów, kopać ich.

A tu nagle otwiera drzwi polski kolejarz i mówi: panowie, wolni jesteście! Wszyscy zaczynają wyskakiwać z wagonów. Jedni płaczą, inni ziemię całują. A ja stanąłem jak wryty i jeszcze myślę sobie. Coś tu nie tak jest. Wolni, to wolni, ale gdzie my stąd pójdziemy. Ale skończyło się dobrze, bo ruszyliśmy i dojechaliśmy do Terespoła, gdzie pociąg się zatrzymał.

I teraz siostry PCK ubrane w takich fartuchach zaczęły nam dawać po troszeczku kaszy manny na rosole. Dawały to w takich małych spodeczkach. A wokół wagonów stoją ludzie z chlebem i inną żywnością dla nas, ale nic nie można było nam podawać, a nam nie wolno było wychodzić.

I wreszcie pociąg ruszył do Białej Podlaskiej, gdzie umieszczono nas w baraku. Nigdzie nie można było wyjść, tylko dawano nam po trochu jeść na takich małych talerzykach-spodeczkach. Stopniowo dawano coraz więcej. Były to kluski i rosół. Gotowały nam takie dziewczyny. Czy ładne były? No pewnie, że ładne.

W rezultacie wróciłem do Polski 16 listopada 1947 r. Ilu kolegów nie przeżyło obozów? Z tych osób ze Skrobowa to wiemy, że przeżyli wszyscy.

Niedawno, ale to już w kraju zmarł porucznik Waiss z Konstancina. On też był z nami. Ostatnio był w Polsce profesorem.

Jak wróciłem do Lublina, to przez dziesięć miesięcy nie mogłem w ogóle dostać pracy nigdzie. Pewnego razu spotkałem się przy wejściu do ogrodu saskiego z takim porucznikiem, który siedział z nami w Stalino-gorsku. I był tam jeszcze jakiś oficer z Zamościa. Myśmy z tym kolegą z obozu rozmawiali a ten oficer stał obok. Rozmowa trwała może 4-5 minut. I w pewnym momencie zostałem aresztowany. Przywieźli mnie na róg Narutowicza i Nowej Drogi, gdzie mieściła się Informacja Wojskowa. I zaczęło się śledztwo. Cały czas pytają mnie, co ja z tym oficerem rozmawiałem, Ja odpowiadam, że w ogóle z tym oficerem nie rozmawiałem, że to z tym starszym kolegą, co razem byliśmy w obozie rozmawialiśmy. I taki moment był, że tam mi trochę przyleli. Ja wtedy powiedziałem takiemu porucznikowi - nie pamiętam jego nazwiska ... Kawiński, Skawiński, czy jak?, powiedziałem: panie nie próbujcie mnie bić, bo oddam, to nie ma mowy, że oddam. I wtedy przyszedł taki jeden i uderzył mnie głową o ścianę. Mnie gwiazdy w oczach stanęły, w głowie zrobił się szum. I jak mu wtedy oddałem, to on upadł. I jeszcze go kopnąłem. Wtedy dopadli mnie inni i zaczęli bić. W końcu przerwał to oficer i kazał mnie odprowadzić na dół, do celi.

Tam siedział ze mną razem taki jeden zwykły żołnierz. I w tym samym dniu, po apelu, kiedy mieliśmy iść spać, coś ze sobą szeptaaliśmy po cichu. Aż tu nagle drzwi do celi się otwierają i wchodzi pijany żołnierz - wartownik. To był jakiś góral. I on tego chłopaka co ze mną siedział uderzył. A ja już się nastawiłem, że mnie też zechce uderzyć. I tak się stało, ale ja się odchyliłem i jak mu dałem w pysk, to upadł na piec. On wtedy poleciał na wartownię wziąć pepeszę, żeby mnie zabić, ale jej mu nie dali. I pamiętam - przyszedł wtedy taki Busz, który był komendantem wartowni i pyta co tu było?

Ja mówię tak: raz panu już powiedziałem, że ja nie dam się bić, że każdemu oddam. Co on ode mnie chce. To jest dla mnie zwykły żołnierz

i on ma być w stosunku do mnie grzeczny. Busz wtedy do mnie : no ty przestań się tak mądrzyć i coś tam jeszcze i na tym się skończyło. Niedługo po tym mnie wypuścili.

Ale przedtem jeszcze wezwał mnie do siebie taki pułkownik. Mówi do mnie tak : jeżeli będziesz z nami współpracował, to my cię wypuścimy . A wiedziałem już wcześniej od współwięźniów, że każdemu to ^{o/}próponują. Odpowiadam więc od razu że będę współpracował. No to - mówi podpisz tutaj. Ja podpisałem. A teraz ubieraj się i wychodź. Za jakiś czas ktoś się do ciebie zgłosi, to się umówicie.

Ubieram się, wychodzę, a tu zimno jak cholera. To był już grudzień, a ja tylko w takim płaszczyku. Po pewnym czasie przychodzi do mnie jakiś człowiek. Pan "Luśnia" - pyta. Tak - mówię, no to pan pozwoli do mnie. Zachodzę tam. Jest taki mały pokoik, a w nim tylko stół i dwa krzesła. No to porozmawiamy teraz. No to porozmawiamy. Będzie pan pisał nam takie a takie rzeczy. No dobra mówię. To kiedy się spotykamy. W czwartek. Proszę bardzo. Pan coś przyniesie. Tak. Przyniosę. Pamiętam jak dzisiaj ten czwartek. A nim to nastąpiło zacząłem pisać.

Był taki prokurator. Znałem go. On z Lublina był. Zapomniałem jego nazwiska, ale to był Niemiec i służył u Niemców. Napisałem więc, że służył w SD i tak dalej. Napisałem też o takim naczelniku, którego też znałem i wiedziałem, że współpracował z Niemcami.

Zaniosłem to wszystko. Wziął zadowolony. A i pracę dostałem od razu. Niedługo po tym przychodzi do mnie do pracy i przez telefon mówi, że chce się ze mną spotkać. Spotykamy się więc, a on do mnie z krzykiem! Co wy tu wypisujecie! Kto was o to prosił! Polska Ludowa im darowała, a wy chcecie ? Ukarać ich! I tak skończyła się współpraca. Nie chcieli dalej ze mną współpracować, to co ja temu jestem winien.

Konsekwencje tego były takie, że straciłem pracę. Powiedziano mi w zakładzie, że w Lublinie pracy dla mnie już nie ma, że mogę iść np. do Lubartowa albo do Niedrzwicy. Poszedłem więc do Niedrzwicy gdzie pracowałem do czasu jak Gomułka doszedł do władzy. Będąc jeszcze w Lu-

blinie - zawsze przed takimi rocznicami jak rewolucja październikowa czy pierwszy maja wyjeżdżałem do brata albo do stryjka na wieś, żeby mnie nie zamknęli. Bo takie przypadki były. Bo pamiętam jak ojca Edka zamknęli.

Ten okres, to też był bardzo zły w moim życiu, taki żal miałem, że coś ciągle chcą ode mnie.

Czy po powrocie z Rosji spotykałem się z kolegami z oddziału? Oczywiście. Myśmy od razu się spotykali, były to spotkania bardzo przyjemne. Ja to nie miałem z nikim kłopotu takiego np., że jak ktoś z kolegów mijał mnie na ulicy to starał się mnie nie zauważyć czy coś podobnego.

Po roku 1956 powróciłem z Niedrzwicy do Lublina.

Kopia biogramu napisanego przez Józefa Kasiaka ps "Luśnia"

Urodziłem się 1.06.1921 r. w Wierzchowiskach w Lublina w rodzinie rolnika Tomasza i Franciszki z domu Dadaż. Od 6 klasy szkoły podstawowej aż do wybuchu II wojny światowej byłem członkiem Przysposobienia Wojskowego /PW/. W ramach PW zostałem 1 września 1939 r. skierowany do służby ochronnej do Lublina, gdzie znalazłem się w Kompanii Wartowniczej PW dowodzonej przez por. Noska. Po zakończeniu działań wojennych pozostałem w Lublinie u dalszej rodziny.

W styczniu 1940 r. nawiązałem kontakt z por. Jerzym Lipniackim, który organizował przy ul. Dziesiątej w Lublinie placówkę Związku Polski Niepodległej / ZPN /. W roku 1940 zostałem zaprzysiężony przez por. Lipniackiego stając się żołnierzem ZPN.

W okresie tym wraz ze mną członkami tej placówki byli m.in.: Zygfryd Szydłowski ps. "Rafał", Gustaw Kiciński ps. "Rekin", Rybka ps. "Pantera", późniejsi żołnierze specjalnego lotnego oddziału "Szarugi" oraz inni.

W późniejszym terminie Lipniacki zorganizował na terenie Lublina jeszcze inne placówki.

Z uwagi na wyspę w szeregach ZPN w Chełmie i w związku z tym aresztowaniem por. Lipniackiego jesienią 1940 r. poczułem się zagrożony i zostałem skierowany do Motycza, gdzie miał siedzibę po przeniesieniu z Chełma komendant okręgu ZPN - Lublin por. ^{Aleksander} ~~Andrzej~~ Sarkisow ps. "Andrzej", który formował oddział partyzancki z zagrożonych żołnierzy ZPN.

Na przełomie 1940/1941 r. "Andrzej" zgodnie z rozkazem gen. Sikorskiego podporządkował całą zorganizowaną przez siebie siatkę ZPN Komendzie Okręgu ZPN Lublin.

W nowej strukturze por. Aleksander Sarkisow otrzymał stanowisko komendanta pierwszego rejonu ZWZ-AK Lublin - powiat, używając pseudonimów "Andrzej", "Dobrowolski", a jako dowódca zorganizowanego przez siebie oddziału partyzanckiego używał w kolejności pseudonimów: "Czarnota" i

II

"Szaruga".

W maju 1943 r. "Szarudze" powierzono stanowisko oficera do spraw zrzutów, a oddział został od czerwca 1943 r. przekształcony w specjalny lotny oddział partyzancki do podejmowania zrzutów.

W oddziale tym przyjąłem pseudonim "Luśnia" i pełniłem służbę aż do zakończenia akcji "Burza" na terenie lubelszczyzny dosłużwszy się stopnia sierżanta. Po rozbrojeniu nas przez oddziały sowieckie w majątku Osmolice udaliśmy się do Lublina. Tutaj część żołnierzy /około 40 osób / czując się najbardziej zagrożonymi zgodziła się wraz z "Szarugą" zgłosić się na ochotnika do dalszej służby w formowanej 8 dywizji II Armii LWP, gdzie wszyscy otrzymaliśmy stopnie oficerskie.

Sielanka ta trwała niedługo, gdyż już w październiku 1944 roku NKWD zaczęło wśród nas aresztowania.

Ja w stopniu ppr. wraz z ppr. Jerzym Krzyżanowskim ps. "Szpic", ppr. Zbigniewem Pliszczyńskim ps. "Kosa" i ppr. Janem Żróbką ps. "Lechita" znaleźliśmy się w przejściowym obozie w Skrobowie k/Lubartowa, a następnie w obozach na terenie ZSRR.

Mój powrót do Polski z obozów sowieckich nastąpił w 1947 r. Tutaj podjąłem pracę w zawodzie krawieckim. Obecnie jestem na rencie inwalidzkiej.